



<http://icm.org.pl>

E. ORZESZKOWA

DOBRA PANI

1888

WYDANIE NOWE



INSTITUT
BADAŃ LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-240 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.
POZNAŃ — KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA

<http://rcin.org.pl>

Cena 25 fen., 40 hal.

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

48. Żmichowska M. Prządki. — Ze wspomnień dziecięcego wieku
49. Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej
50. — Niewola tatarska
51. — Pójdźmy za Nim!
52. Łętowski Jul. Wawrzyńcowie
53. Sienkiewicz H. Za chlebem
54. Sienkiewicz H. Z pamiętnika nauczyciela poznańsk.
55. — Sielanka. — Legenda żeglarska
56. Siemieński L. Portret króla Jana. Postawie siewierscy
57. — Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwali
58. Sienkiewicz H. Orso. — Sachem
59. Gomulicki W. Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej
60. Kosiekiewicz W. Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabożeństwo majowe
61. Sewer. Łusia Burlak
62. — Wiosna
63. — Dola
64. Dygasieński A. Co się dzieje w gniazdach
65. Sieroszewski W. Kulisi
66. — W ofierze bogom
67. — Bokser (Uang-Ming Tse)
68. Kaczkowski Z. Bitwa o chorążankę
69. Prus B. Cienie. Z legend dawnego Egiptu. W górach
70. Konopnicka M. Wojciech Zapała
71. — W Winiarskim forcie
72. — Urbanowa
73. — Miłosierdzie gminy
74. Lenartowicz T. Wybór poezyi
75. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezyi
76. — Janko Cmentarnik
77. Hoffmanowa Klem. Dziennik Franciszki Krasnolick
78. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej
79. Czerneda M. (Bierzyński). Nieplakany
80. — Kancelista
81. Kraszewski J. I. Żywot i przygody imci Pana Józefa z Gozda, Hrabi Gozdziekiego. Pan Starosta Kaniowski
82. — Jak się dawniej listy pisały
83. — Psiarek
84. Wilczyński Ad. Przykładna kara
85. Chedźko Ign. Samowar
86. — Domek mojego dziadka. Śmierć mojego dziadka
87. — Boruny
88. Górski K. M. Biblioman
89. Lenartowicz T. Zachwycenie
90. Korzeniowski J. Karpaccy górale
91. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Ura

E. ORZESZKOWA

DOBRA PANI

WYDANIE NOWE



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Gabinet
Filologiczny
im. G. Korbuta
T.N.W.

14 16993

Prowadzone za rękę przez Janową, żonę murarza, weszło maleństwo do pięknego salonu pani Eweliny Krzyckiej, wylękle i zachwycone, drobnymi kroczkami drepczące po ślizkiej posadzce, gotowe — stosownie do okoliczności — wybuchnąć płaczem, albo i śmiechem. Korallowe usteczka drżały i krzywiły się do płaczu, wielkie szafirowe źrenice paliły się od zdumienia i ciekawości, a ślicznie wykrojone czoło otaczały gęste włosy, z barwą i gorącymi połyskami ciemnego złota. Była to pięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna. Obok prowadzącej ją barczystej i silnej kobiety, w swej perkalowej, długiej aż do ziemi sukieneczynie przypominała białawego motyla ze zwiniętymi skrzydłami. O kilka kroków od progu drgnęła z przestachu i już już krzyknąć miała w niebogłosey zapewne, lecz nagle, wrażenie trwogi ustąpiło snąc przed uczuciem radości, bo, gwałtownie wrywając rękę swą z grubej dłoni Janowej i przysiadając na posadzce, ze śmiechem i czułością niezmierną wołać zaczęła: — Ciucia! ciucia! — Pierwsze spotkanie, groźnie zrazu zapowiadające się, przybrało cha-

rakter całkiem przyjacielski. Malutki pinczerek¹⁾, który rzucił się był na wchodzące osoby z zadaniem i piskliwym szczekaniem, stanął przed siedzącym na ziemi dzieckiem i wpatrywać się w nie zaczął parą czarnych, błyszczących, pojętnych oczu. Dziecko zatopiło w śnieżnej, ogromnej jego sierści dwie malutkie, czerwone rączki. Lecz w tejże chwili nad dwojgiem zaznajamiających się z sobą istot stanęła kobieta około 40-letnia, jeszcze piękna brunetka, wysoka i czarno ubrana. Mularzowa, schylona we dwoje, całowała białą jej rękę.

— Helka! czemuż wielmożną panią w rękę nie całujesz! patrzcie ją! z psem się już bawi! Niech wielmożna pani nie gniewa się na nią! To jeszcze takie głupie!

Ale pani Ewelina gniewać się ani myślała. Przeciwnie, czarne oczy jej, pełne ognia i czułości, z wyrazem zachwycenia tkwiły w twarzyczce dziecka, którą Janowa grubą swą ręką ku niej wznosiła. Helka miała teraz łzy w szafirowych źrenicach i obydwoma rękami trzymała się spódnicy Janowej.

— Robiliśmy, wielmożna pani, dla dziecka tego wszystko, cośmy mogli, ale zwyczajnie u biednych ludzi grzeczności nie nauczyła się... Ot, teraz dopiero Pan Bóg los jej zsyła... sierocie!

— Sierota! — ze wzruszeniem powtórzyła pani Ewelina i, pochylona nad dzieckiem, chciała zapewne wziąć je w ramiona. Lecz, nagle cofnęła się. Wyraz litości twarz jej okrył.

— O! biedactwo! Jakże to ubrane! — zawołała — sukienka długa aż do ziemi...

Zaśmiała się.

— A koszula jaka gruba i włosy!... Ona ma cudowne włosy, ale któż to takiemu dziecku spleta warkocze!... Trzewiczki jakie grube i bez... pończoszek...

Wyprostowała się, palcem dotknęła srebrnego dzwonka, na którego przeciągły, ostry dźwięk Helka zaśmiała się, a Janowa szeroko otworzyła oczy.

— Panny Czernickiej! — rzekła krótko do zjawiającego się we drzwiach lokaja.

W mgnieniu oka pośpiesznym bardzo krokiem weszła kobieta trzydziestoletnia, w czarną, obcisłą suknię ubrana, wysoka, chuda, z cerą ciemną i zwiędłą, z czarnymi włosami, spiętymi z tyłu głowy wysokim szyldkretowym¹⁾ grzebieniem. Od progu bystre jej oczy obrzuciły mularzową i przyprowadzone przez nią dziecko chmurnem wejrzeniem, lecz, gdy znalazła się o kilka kroków od swej pani, wzrok jej zabłysnął najpiękniejszą pogodą, a na wązkich, zwiędłych wargach osiadł pokorny i przymilający się uśmiech. Pani Ewelina, ożywiona bardzo, zwróciła się wnet do niej.

— Moja Czernisiu, widzisz, to owo dziecko, o którym wczoraj ci mówiłam. Przypatrz się tylko! co to za rysy... jaka delikatność cery... a oczy... włosy... gdyby tylko troszeczkę utyla i nabrała ru-

1) Skorupa żółwia morskąego.pl

mieńców, możnaby ją drugiemu jakiemuś Rafaelowi¹⁾ za model do cherubinka²⁾ przedstawić... Przytem sierota!... wiesz, jakim wypadkiem znalazłam ją u tych poczciwych ludzi... w takim smutnem domostwie... wilgotnem, ciemnem... Zaświeciła mi tam przed oczami, jak perła na śmietniku... Bóg mi ją zesłał... Ale, moja Czernisiu! trzeba ją wykąpać, uczesać, ubrać... zmiłuj się! za godzinę, za dwie najdalej, niech mi to dziecko zupełnie inaczej wygląda...

Czernicka uśmiechnęła się rozkosznie, ręce u piersi gestem zachwycenia splatała, na znak pośpiesznego przytwierdzenia wszystkiemu, co pani jej mówiła, głową trzęsła. Pani Ewelina była w humorze wyborzym. W wyborzy też humor wpadła, chmurna i posepna u wejścia, panna służąca. Jak wprzód Helka przed pieskiem, tak teraz ona przed Helką na ziemi przysiadła i do dziecka, dziecinne szeplenienie naśladowując, szczebiotać zaczęła. Potem z trudnością wielką, lecz starannie ukrywaną, pochwyciła Helkę w swe suche, sprężyste ramiona, z nad ziemi uniosła, do piersi przycisnęła i twarz jej świszczącemi pocałunkami okrywając, z salonu ją wyniosła. Pani Ewelina, rozpromieniona i od lez rozrzewnienia zaledwie wstrzymać się mogąca, przez chwilę jeszcze rozmawiała z Janową, która, niezmierną dobrocią jej ośmielona i także rozrzewniona, płakała i po raz wtóry opowiadała historję Helki, sieroty po krewniaku jej,

1) Znakomity malarz włoski.

2) Aniołka.

tak samo, jak mąż jej, mularzu, który, z rusztowania spadłszy, zabił się na śmierć, poczem prędko i żona jego, a Helki matka, z cholery umarła. Sierota po ojcu i matce! Obie kobiety, wdowa po bogatym panu i żona mularza, rozrzewniły się do łez na dźwięk tego słowa. Pani Ewelina chwaliła bardzo Janowej i mężowi jej uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim przytuliła do siebie to biedne a tak śliczne dziecko; Janowa, sławiąc dobroć i miłosierdzie pani Eweliny, dziecko to pod stałą opiekę swą przyjmującej, policzki swe, i bez tego czerwone, od krwistej barwy rękawem lustrynowego¹⁾ kaftana natarła. Skończyło się na tem, że mularzowa byłaby na klęczki przed panią Ewelina upadła, aby skraj sukni jej, niby świętej, ucałować; lecz pani Ewelina powstrzymała ją słowami, że przed Bogiem tylko na klęczki upadać trzeba, poczem prosiła mularzową, aby wzięła od niej kilka rubli na cukierki dla dzieci swoich. Teraz Janowa zaśmiała się przez łzy rubasznie i wesoło.

— Dam ja im cukierki! — zawołała — albo to pańskie dzieci, żeby im cukierków trzeba było. Jeżeli już wielmożna pani tak łaskawa, to za pieniądze te sprawię Wickowi buty, a Marylce i Kaśce chusteczki na głowy...

Nakoniec pożegnały się. Janowa w powrocie do chaty swej ze dwadzieścia razy zatrzymała się na ulicach miasta, przed dwudziestu napotkanemi osobami sławiąc anielską dobroć i miłosierdzie pani Eweliny. Pani Ewelina zaś, po odejściu Jano-

¹⁾ Błyszczący materiałem welnianym.

węj, osunęła się na kanapę i wsparła na białej dłoni czoło obciążone tęskną i zarazem rozkoszną zadumą. O czym myślała? O tem zapewne, że Bóg, w nieprzebranej dobroci swej, zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca... Promieniem tym miała jej być odtąd śliczna ta sierotka, wypadkiem wczoraj znaleziona, a dziś za córkę przez nią przybrana... O, jakże ona kochać będzie to dziecko! Czuje to po przyśpieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle nappełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, taki grobowy chłód ją ogarniał. Już już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatyę¹⁾ lub w ciemną melancholię wpaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to trafić nie należy... Byleby Czernisia prędko oczyściła i ubrała tego aniołka...

Tu zaduma pani Eweliny przerwana została przez dwie kosmate łapki, które, wspinając się na jej kolana, zaplątywały się w koronki jej sukni, a ostrzem pazurków dosięgały ręki. Obudzona, wzdrygnęła się i gniewnym gestem odtrąciła od siebie natrętnego pieska. On gniew jej wziął za wesołe żarty. Zbyt długo snąć był kochany, aby móżdż łatwo w odtrącenie uwierzyć. Zaskomlił radośnie i znów kosmatemi łapkami darł koronki

¹⁾ Zniechęcenie, nieczułość.

i drapał atlasową rękę swej pani. Tym razem pokoczyła z kanapki, zadzwoniła.

— Panny Czernickiej! — rzekła do zjawiającego się lokaja.

Czernicka wbiegła zdyszana, z rumieńcami na ciemnych policzkach, z rękawami czarnej sukni zawiniętymi po łokieć.

— Moja Czernisiu! weź, proszę cię, Elfa, i niech on tam przy tobie w garderobie zawsze już będzie. Drze mi koronki, nudzi mię...

Kiedy panna służąca schyliła się, aby wziąć pieska, na wąskich wargach jej przemknął uśmiech szczególny. Było w nim trochę szyderstwa, trochę smutku. Elf warknął, cofnął się i przed ujmującemi go kościstemi rękami uciec chciał na kolana swej pani. Ale pani Ewelina usunęła go zlekka, kościste zaś ręce pochwyciły tak mocno, że aż zaskomlił. Czernicka bystre spojrzenie przez mgnienie oka zatopila w twarzy swej pani.

— Jaki ten Elf zrobił się nieznośny... — szepnęła nie bez pewnego wahania w głosie.

— Nieznośny! — powtarzała pani Ewelina i z gestem niechęci dodała: — Nie pojmuję już, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne stworzenie...

— O! on był kiedyś wcale inny!

— Nieprawdaż, Czernisiu, wcale innym. Był kiedyś prześliczny... Ale teraz...

— Teraz zrobił się nudny...

— Okropnie nudny... Weź go do garderoby, i niech się nigdy nie pokazuje w pokojach...

Czernicka była już u progu, gdy usłyszała znowu:

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przy-
milonym uśmiechem.

— Cóż tam z naszą małą?

Wszystko będzie wedle rozkazów pani. W ła-
zieni wanna już gotowa, Paulina kąpać będzie
Helkę...

— Panienkę! — od niechcienia przerwała pani
Ewelina.

— Panienkę... Ja skroję sukienkę z tego błę-
kitnego kaszmiru, co to w komodzie...

— Wiem, wiem...

— Kazimiera pobiegła do sklepu z obuwiem,
Janka posłałam do sklepu z gotową bielizną... su-
kienkę choć sfastryguję tymczasem... tylko proszę
panią o koronki, wstążki i pieniądze na wszystko.

Koronek, wstążek, tiulów, gaz, kaszmirów, atła-
sów pełno było w szafach i komodach, napelnia-
jących sobą kilka pokojów obszernej i pięknie
urządzonej willi pani Eweliny. Czernicka dość
długo otwierała i zamykała szafy i szuflady, nie
przestając przecież ani na chwilę ścisnąć w dłoni
banknotu sporej wartości. Potem był w garde-
robie wielki gwar zażartego targowania się i ku-
powania; potem jeszcze spora część wyjętych
z szaf i komód przedmiotów, jako też część
wartości rozmienionego banknotu, znikły w prze-
paściwym kufrze, stanowiącym osobistą własność
panny służącej. Nakoniec z wypogodzoną twa-
rzą, widocznie zadowolona zyskiem, z przybycia
do domu sierotki otrzymanym, pośpiesznie za-

częła ona fastrygować i szpilkami upinać naprędcę sporządzoną sukienkę. Nazajutrz dopiero krawcy, szewcy i szwaczki rozpocząć mieli formalną robotę około garderoby panienki. Tymczasem zaś panienka ta, wykąpana już i uczesana, lecz jeszcze w grubej koszulinie swej i z boseni nóżkami, siedziała w pokoju Czernickiej na ziemi i wśród najczulszych pieaszcot z Elfem zapominać zdawała się o całym świecie.

O całym świecie też zapomniała utopiona w głębokiej zadumie pani Ewelina. Zadumy tej nic już teraz nie przerywało. W obszernym salonie, świetnym od przystrajających go zwierciadeł, obrazów i ponsowych adamaszków, panowała cisza głęboka. Przez wpółotwarte portyery¹⁾ widać było kilka większych i mniejszych pokojów, pograżonych również w ciszy i półcieniu. Ukośne promienie zachodzącego letniego słońca, wnikając przez szczeliny zapuszczonych żaluzji, ślizgały się tu i owdzie po ścianach, kobiercach i złożonych ramach obrazów. Z za okien dochodziły wonie rozkwitłych róż i świergoty ptactwa, w głębi domu, w sali jadalnej, z cicha pobrzękiwały ustawiane do wieczerzy naczynia.

Pani Ewelina dumiała o swej niedoli. Nie przesadzała bynajmniej, myśląc, że jest bardzo nieszczęśliwą. Istotnie, wdowa od lat wielu, bezdzietna, z sercem gorącym a samotnem, nie była nawet tak bogatą, aby módz zawsze przebywać tam, gdzie życie przedstawiało dla niej najwięcej

¹⁾ Firanki z ciężkiej materji przy drzwiach.

jeszcze uroków, a najmniej smutków i znudzenia. Majątek jej był wprawdzie znaczny, nietyłe jednak, aby kłopoty i interesy różne nie przykuwały jej niekiedy i na czas pewien do tak brzydkiego, smutnego, nudnego miejsca, jakim jest Ongród. Teraz szczególnie z pięknymi i obszernymi dobrami, posiadaniem przez nią w okolicach Ongródu, stało się coś niezwykłego. Były tam jakieś umowy do zawarcia, jakieś długi do spłacenia, jakieś nieuniknione wydatki gospodarskie do ponieśienia — a wszystko to odejmowało pani Ewelinie wszelką możliwość wyjechania za granicę, albo przynajmniej zamieszkania w największym z miast krajowych. Przebyła więc tu blisko już dwa lata, lata ciężkie, nużące. Obca wszystkiemu i wszystkim, otoczona prozaicznymi widokami małego miasta, tęskniąca do wzniosłych artystycznych uciech, które stanowiły dotąd największy urok jej życia, a których naturalnie tu całkiem pozbawiona była, żyła ona, jak pustelnica, zamknięta w willi swej z obrazami swymi, fortepianem, Czernisią i Elfem. Życie jej tu o tyle czyste było, o ile smutne, a jednak spokój sumienia nie był zupełny. Nie czyniła nic dobrego i wyrzucała to sobie często i gorzko. Żądza czynienia dobrze była jedną z najżywiej drgających strun jej ducha. Dobroczynność sięgała w niej stopnia namiętności i wiele, wiele razy w życiu przynosiła jej uciechy moralne, zastępujące szczęście, którego nie zaznała nigdy. Lecz... bywało tak gdzieindziej. Tu nie wiedziała nawet, jak i co czynić, aby najgłębszą potrzebę szlachetnego serca swego zaspokoić. Wprawdzie, kiedy nie-

kiedy, tym i owym, dawała hojne jałmużny, ale nie czyniło to zadość sercu jej, ani wypełniało czasu, ani zadowolnić mogło sumienia. Ona w wielkich miastach przywykła do dobroczynności pracowitej, czynnej, pod wodzą świątłych kierowników duchowych dokonywanej, a oddające się jej osoby prowadzącej na strychy wysokich kamienic, w ciemne suteryny, do przytułków i ochron, nad stoliki ze srebrnymi tacami, w przedsionkach świątyń umieszczone i t. p. Niedostatek sposobów do wykonywania takiej właśnie dobroczynności, dręcząc ją, dolewał jedną więcej kroplę do gorzkiego jej kielicha. Nagle w Ongrodzie uformowano tak zwane Towarzystwo dam dobroczynnych. Pani Ewelina, jako najmajętniejsza zapewne mieszkanka miasta, do wzięcia udziału w czynnościach towarzystwa tego wezwana została. Była to pierwsza radość, jakiej od lat dwu doznała. Będzie więc mogła czynić dobrze! Siły serca, których tyle czuła w sobie, znajdą dla siebie ujście jakieś! Oko jej zazna jeszcze roszącej je zazwyczaj na widok nędz ludzkich lzy litości i rozrzewnienia! O ucho jej odbiją się dziękczynne i błogosławiące wyrazy tych, pośród których zjawi się, niby anioł pomocy i pocieszenia! Stała na wezwanie natychmiast. Wskazano jej dzielnicę miasta, w której wyszukiwać miała ubogich. Szukała. Szukając, zaszła wypadkiem do domostwa, zamieszkiwanego przez rodzinę mularza, i zobaczyła Helkę. Dziecko przedstawiło się jej w malowniczej jakiejś pozie, bawiło się podobno z psem, czy z kotem, czy może siedziało przed progiem chaty, oblane słońcem, które

we włosach jej rozpalało ogniste błyski, czy może jeszcze, zdumione widokiem powozu, koni i pięknej, strojonej kobiety, stanęło w proggu, jak wryte, i utkwilo w niej dwoje źrenic, w których ona dojrzała upalny szafir włoskiego nieba — dość, że odrazu wydało się jej niezwykłym, prześlicznym i że, gdy przyłożyła usta swe do policzka dziecka, na którym istniały jeszcze ślady tylko co zjedzonego krupniku ze słoniną, pomimo śladów tych, serce jej uderzyło żywiej, i na dźwięk wymówionego przez Janowę wyrazu: »Sierota!« łza litości i rozrzewnienia zrosiła jej oko. Zapragnęła dziecka tego, zapragnęła go na wyłączną swą własność, z zapalem i mocą duszy namiętnej, jak wulkan, a samotnej, jak łódź, na burzliwych przestworach morza zbłąkana... Teraz przedmiot ten pragnień jej był już pod jej dachem. Oddano go jej na zawsze i, zaprawdę, bez trudności! Teraz, kochając dziecko to, uspokoi tęskniące swe serce, a osłaniając je macierzyńskimi skrzydły, zadowolni sumienie swe, rozkazujące jej czynić dobrze!... Lecz gdzież ona jest, prześliczna dziecina ta? Gdzie jest ten zesłany przez Opatrzność anioł pociechy i ukojenia? Dlaczego Czernisia nie przyprowadza jej dotąd? Biedactwo! jeszcze pewnie nieubrana! Ale że umyte już i wykąpane, to pewna. Trzebaby pójść do pokoju Czernickiej, uścisnąć je, ucałować, do serca przytulić...

Zerwała się z kanapki, biegła przez salon i w połowie drogi, ze splecionymi u piersi rękami, stanęła. W drzwiach przeciwnych ukazała się Czernicka, prowadząca za rękę Helkę, ale jakże

zmienioną! Jakaż metamorfoza! ¹⁾ Białawy motyl ze zwiniętymi skrzydłami przemienił się w świętnego kolibra ²⁾. Różowe wstążki, niby piórka, czy skrzydełka, pstrzyły błękitną sukienkę. Z puchów białych koronek wysuwały się okrągłe nóżki, obciągnięte pończoszkami, delikatnymi, jak sieć pajęcza, a niknącemi w małych błękitnych trzewiczkach; ogniste włosy utrefione, woniejące, trzymała w karbach opaska z szyldkretu. Strojem tym zachwycona i strwożona, wonią ulatującą z włosów jej i koronek upojona, Helka stała w progu salonu, z ustami znów do płaczu skrzywionemi, ze szczupłemi ramionami, sztywnie w obawie zgniecenia sukni rozpostartemi w powietrzu, z oczami, które to spuszczały się ku cudownym trzewiczkom, to podnosiły się ku twarzy pani Eweliny, nieśmiało i wilgotne. Pani Ewelina poskoczyła i, pochwyciwszy ją w objęcia, teraz dopiero okrywać zaczęła gorącemi pocałunkami. Potem poprowadziła dziecko do sali jadalnej, gdzie wraz z niem usiadła przy stole, zastawionym piękną porcelaną i wybornymi przysmakami. W pół godziny potem Czernicka, wchodząc do jadalni, znalazła Helkę, siedzącą na kolanach nowej swej opiekunki i zupełnie już z nią spoufaloną. Niezmierna dobroć i czułość pani Eweliny prędko bardzo wlały w serce dziecka śmiałość i ufność. Z policzkami trochę zatłuszczonymi, nie krupnikiem ze słoniną tym razem, ale ciastkiem

¹⁾ Przeistoczenie.

²⁾ Małeńki ptaszek z krajów gorących o barwnem i świecącym upierzeniu.

z konfiturami, wyciągała ona malutki paluszek swój ku różnym nieznanym jej dotąd przedmiotom, o nazwę ich pytając:

— Co to, pani, co to?

— Filiżanka — odpowiadała pani Ewelina.

— Fili-zian-ka... — z niejaką trudnością powtarzała Helka.

— A po francusku nazywa się to: *la tasse*.

— Tas, tass, tas-tas-tas! — szczebiotała Helka.

Kobieta i dziecko miały pozór istot zupełnie szczęśliwych. Czernicka ze swą szklanką herbaty, opuszczając jadalnię, uśmiechnęła się w sposób sobie właściwy, trochę szyderski, trochę smutny.

Taki był pierwszy dzień pobytu Helki w domu pani Eweliny, a po nim nastąpił długi szereg dni podobnych lub może dla kobiety zarówno jak dla dziecka jeszcze szczęśliwszych. Bawiły się z sobą wybornie. W letnich miesiącach po ładnym ogrodzie, willę¹⁾ otaczającym, od rana do wieczora prawie fruwała dziewczynka, do barwnego kolibra podobna. Drobne, wykwintnie obute jej stopy obiegały po zwirowanych ścieżkach klomby, napelnione kwiatami; złotymi włosy okryta i ukwiecona jej główka przesuwiała się nad niskimi grupami zieleni, jak napowietrzne, anielskie zjawisko. Szczebiot i śmiech dziecięcy rozbrzmiewał daleko, aż za żelazne sztachety, przedzielające ogród willi od zamiejskiej ulicy. Pani Ewelina, na obszernym i ozdobnym ganku siedząc, godzinami całemi zapominała o książce, trzymanej w ręku, ścigała wzro-

kiem malutką, lekką, strojną istotę, uchem łowiła każdy dźwięk szczebiotu jej i śmiechu, a czasem, zbiegłszy ze wschodów ganku, zaczynała gonić ją po ścieżkach ogrodu. Wtedy wśród tej dziecinnej zabawy, której całem sercem oddawać się zdawała, można było spostrzedz najlepiej, ile sił i życia było jeszcze w tej już niemłodej jednak kobiecie. Policzki jej rumieniły się, czarne oczy płonęły, kibić nabierała zwinności i giętkości dziecięcej. Gonitwa kończyła się zwykle rzuceniem się Helki na szyję pani Eweliny, wzajemnymi pieszczotami i długiem przesiadywaniem na kobiercu murawy, pośród kwiatów, z których układały wspólnie bukiety i wieńce. Za żelaznemi sztachetami na chodniku ulicy przechadzający się mieszkańcy miasta zatrzymywali się często, usiłując przez otwory sztachet przypatrywać się ślicznej grupie, która wydawała się tem piękniejszą, że tłem jej był pałacyk, malowniczo pośród ogrodu bielejący, a tem więcej rozrzewniającą, iż wiedziano powszechnie, że kobieta ta nie była matką tego dziecka. Dwie te istoty, obce sobie krwią, a tak ściśle z sobą spojone, najsilniejsze wrażenie wywierały w białe, zimowe dnie, gdy wchodziły do natłoczonego ludnością miejskiego kościoła. Na tę malutką, całą w atlasach i łabędzich puchach, i na tę kobietę w sobolach i aksamicie, zwracało się wtedy parę tysięcy oczu ludzkich. Różową teraz i wiecznie uśmiechniętą tę dziecinę porównywano do róży, wychylającej się ze śniegu, lecz jakież porównanie znaleźć można było dla jej opiekunki? Nazywano ją poprostu: świętą! Taką opieką i mi-

łością otoczyć dziecko obce, niskiego pochodzenia, sierotę! W taki sposób używać bogactwa swego! Było to istotnie godnem uwielbienia. Uwielbiano też powszechnie panią Ewelinę, ilekroć łagodna i zadumana twarz jej przesuwiała się boczną nawą wspaniałej świątyni, a u drzwi kościelnych stojąca Janowa, zapalęm porwana, całą siłą obu swych łokci rozpychała ściśnięty wkoło niej tłum, z łoskotem na kolana padała i, pocziwe błękitne oczy swe topiąc w widzialnym jej szczycie wielkiego ołtarza, a rękawem świątecznej algierki lżąc na czerwonej twarzy rozcierając, głośno prawie wołała:

— A szczęście wiekuiste niech jej świeci na wieki wieków, amen!

Nierozłączne w dzień, nie rozstawały się też i w noc. Małe, rzeźbione z orzecha łóżko Helki, istne arcydzieło stolarskiej sztuki, umieszczone było tuż przy łóżku pani Eweliny. Na niem, własnymi rękami opiekunki swej rozebrane i w batystową¹⁾ nocną koszulkę przyobleczona, na webowej²⁾, haftami okrytej pościeli Helka usypiała codziennie cichym, uśmiechniętym snem doskonale szczęśliwej istoty. Pani Ewelina, układając ją do snu, czyniła nad nią w powietrzu znak krzyża, poczem, gdy Czernicka układała koldrę jej w malownicze draperye³⁾, mówiła:

— Jaka ona śliczna, Czernisiu!

— Jak aniołek — odpowiadała panna służąca.

1) Cienka, półprzeźroczysta tkanina lniana.

2) Najcieńsze płótno.

3) Fałdy.

Czasem Helka, nie śpiąca jeszcze, rozmowę tę słyszała, z białych puchów pościeli wybuchał głośny śmiech dziecięcy, przerywany wołaniem.

— Pani śliczniejsza! śliczniejsza! śliczniejsza!

— Co ona bredzi, Czernisiu! — z głębokiem zadowoleniem uśmiechała się pani Ewelina.

— Co to za rozum w tej dziecinie! Jak ona panią kocha! — podziwiała Czernicka.

Przytem przez całe dni i wieczory, w salonie, w ogrodzie i w sypialni odbywała się wciąż prawie edukacja ¹⁾ Helki. Pani Ewelina uczyła ją mówić po francusku, zgrabnie chodzić, siedzieć i jeść, ładnie ubierać lalki, gustownie dobierać kolory, do snu układać się w pozycyi ²⁾ pełnej wdzięku, splatać rączki i oczy wznosić w górę przy modlitwie. Wszystkie nauki te udzielane i przyjmowane były wśród harmonii ³⁾ i przyjacielskości wzajemnej i zupełnej. Śród zabawy i żartów dziecko kształciło się prędko i wesoło: po roku pobytu w domu swej opiekunki Helka płynnie już szczebiotowała po francusku, umiała na pamięć mnóstwo francuskich modlitewek i wierszyków, a gdy szła, biegła lub jadła, Czernicka, spoglądając na nią, z podziwem do pani swej mawiała:

— Co to za ruchy! jaka gracya! ⁴⁾ możnaby, doprawdy, myśleć, że panienka urodziła się w pałacu!...

— Tak już ją Pan Bóg obdarzył, moja Czernisiu — odpowiadała pani Ewelina.

¹⁾ Nauka. — ²⁾ Położenie.

³⁾ Zgoda. — ⁴⁾ Wdzięk.

Co jednak panią Ewelinę najbardziej w dziecku tem zachwycało, to szczególny zmysł piękna, który objawiał się w niej z dniem każdym wyraźniej. Istotnie, Helka nabierała do rzeczy wytwornych i pięknych zamiłowania, z namiętnością niemal graniczącego. Najłżejszą dysharmonię¹⁾ kolorów spostrzegła natychmiast, najłżejsza warstewka pyłu, na posadzce dostrzeżona, wstręt w niej budziła; wybornie już oceniała stopień piękności każdego sprzętu; gdy zmęczona była i chciała spocząć, umiała wybrać i samej pani domu wskazać sprzęt najwygodniejszy; parę razy gorzkimi łzami płakała, gdy przyniesiono jej trzewiczki nie tak piękne, jak te, o jakich marzyła. Pani Ewelina z rozkoszą spoglądała na szybki ten rozwój estetycznych²⁾ skłonności dziecka.

— Moja Czernisiu — mówiła — jaki ona ma popęd do wszystkiego, co piękne, jaka w niej delikatność natury i wrażliwość na każde dotknięcie zewnętrznego świata! Mój Boże! żebym ją mogła do Włoch zawieźć! Jakżeby to małeństwo szczęśliwe było pod tem ślicznem niebem włoskiem, w tym rozkosznym klimacie, pośród tych cudownych widoków włoskiej natury!

Marzenie zawiezienia Helki do Włoch wzmogło się w pani Ewelinie bardziej jeszcze, gdy dnia pewnego odkryła w niej talent, ale to widoczny i wielki talent śpiewu. Helka miała już wtedy skończonych lat ośm i przebyła w domu pani

¹⁾ Niezgodę.

²⁾ Estetyka — nauka o zasadach piękna.

Eweliny blisko trzy lata. W pewien pogodny dzień jesienny, na chwilę samotną pozostawiona, siedziała na ganku pośród stosu nagromadzonych tam dla niej poduszek, i ubierając lalkę, tak prawie dużą, jak ona, w suknię piękniejszą jeszcze od tej, która ją przystrajała, nuciła. Nuciła jedną z francuskich piosenek, których mnóstwo umiała na pamięć. Stopniowo nucenie jej przechodziło w śpiewanie; lalka z rąk jej na poduszki upadła a Helka, z oczami utkwionemi w niebo, z rękami splecionemi u piersi, donośnie i żałośnie wyśpiewywała:

»Le papillon s'envola.
La rose blanche s'effeuilla,
La la la la la la la... ¹⁾

Głosik jej był istotnie czysty i silny. Istotnie też w gorąco kochanem i czule pieszczonem dziecku rozbudzić się musiała uczuciowość gorąca i rzewna, bo smutne losy białej róży opiewała z przejęciem się i uczuciem takim, że aż drobna pierś jej wzносиła się wysoko, a na ciemno-złotej rzęsie błysnęła łza. Pani Ewelina, niewidzialnie spoglądająca na nią przez otwarte okno salonu, tonęła w zachwycie i od dnia tego zaczęła wieczorami uczyć ją muzyki.

Wieczorami w małym pokoju Czernickiej paliła się na stole lampa, zegar ścienny monotonna ²⁾ tętnił nad przepaścistym kufrem, z za firanek ukazywało się skromnie zasłane łóżko. Cicho tu było. Trzy garderobiane drzemały nad robotami swemi,

¹⁾ Motyl odleciał, biała róża liście straciła...

²⁾ Jednostajnie. <http://rcin.org.pl>

lub cichutko szeptały w przyległym pokoju, z głębi domu, z salonu, załatywały pojedyncze, przeciągłe dźwięki poruszanych z kolei fortepianowych klawiszów. Niekiedy ozwały się donośne przez panią Ewelinę wymawiane: f, g, h i t. d.; niekiedy gama dziecinnego śmiechu rzuciła tu parę nut srebrnych, albo przyciszone odległością dało się słyszeć dziecięce śpiewanie:

»La rose blanche s'effeuilla.

La la la la la la la...«

Na jasnym tle obfitego światła lampy postać panny służącej wysoka, cienka, w obcisłą suknię ubrana, z wysoko sterczącym z tyłu głowy grzebieniem, rysowała się w liniach ciemnych i ostrych. U nóg jej, na miękkim, ładnym podnóżku, w skurczonej i smutnej postawie leżał Elf. Ramiona jej suche, rękawami obciążone, i długie kościste ręce zwinnie i zgrabnie poruszały się około leżącej na kolanach materyi. Szyła pilnie, lecz ilekroć odgłosy odbywającej się w sali lekcyi muzyki przylatywały do niej, chmurny wzrok jej spływał na leżącego u stóp jej pieska; dotykała go zlekka końcem stopy i z właściwym sobie uśmiechem mówiła:

— Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłeś?

Wkrótce potem spełniło się pragnienie pani Eweliny; majątkowe interesy pozwoliły jej wyjechać na kilka miesięcy za granicę; powiozła do Włoch swoją Helę; Hela uprosiła o pozwolenie powiezienia z sobą Elfa. Czernicka pojechała także.

Po upływie kilku miesięcy, w piękny dzień letni willa pani Eweliny, przez czas nieobecności jej obumarła, ożywiła się znów. W ogrodzie kwitły pyszne astry i lewkonie, salon jaśniał swemi zwierciadłami i ponsowymi adamaszkami¹⁾, w sali jadalnej pobrzękiwały zcicha szkła i porcelany, pani Ewelina siedziała w salonie, zamyślona bardzo, smutna nieco i tęskna. Helki przy niej nie było, ale z głębi domu od strony garderoby dochodziły chwilami dźwięki donośnego, wesołego jej głosu i śmiechu. Bawiła się w tej chwili wybornie. Czernicka, siedząc na podłodze garderoby, otwierała kufry podróżne, wyjmując z nich niezliczone przedmioty, do niezliczonych użytków przeznaczone; trzy garderobiane zaś i mularzowa Janowa, stojąc dookoła w postawach pełnych ciekawości i zdumienia, przyglądały się z kolei panience i wydobywanym na jaw cudom europejskich rzemiosł. Wszystkie twierdziły jednogłośnie, że panienka bardzo urosła. Istotnie, Helka dosięgła wieku, w którym dziewczątka nabierają szczególnej i harmonię kształtów ich nadwerężającej długości nóg. Długie, cienkie te nogi, przybrane w bardzo ciasne i wysokie kamasje, czyniły ją trochę niezgrabną. Regularny owal jej twarzy nadwerężył się też nieco przez lekkie wychudnięcie, będące zapewne skutkiem długiej podróży; odkryte ramiona jej były chude i czerwone. Śliczne dziecko zaczęło przedzierać się w niezgrabnego podlotka, którego jednak rysy zapowiadały przyszłą piękność młodej dziewczyny.

¹⁾ Materya wełniana lub jedwabna w duży deseń.

Mularzowa, uwiadomiona o powrocie pani i panienki przez jedną z garderobianych, u której to uprosiła, wydziwić się nie mogła naprzód małej krewniaczce swej, a potem rzeczom jej, wydobywanym z dwu oddzielnych tłumoków. Przysiadła na ziemi obok Helenki, która pokazywała jej i tłumaczyła wszystko.

— Drugi kapelusz... — wykrzykiwała — trzeci... czwarty... o! dla Boga! Wieleż ty, Helko, masz kapeluszy?

— Tyle, ciotko, ile sukienek — tłumaczyła Helka — do każdej sukienki jest stosowny do niej kapelusz...

— Co to za pudło?

— To nesseser ¹⁾ podróżny...

— Na cóż to?

— Jakto, na co? Widzi ciotka, tu są różne przegródki, a w nich wszystko, co potrzeba do mycia, czesania i ubierania... Oto grzebienie, mydelko, szczoteczki, śpilki różne, perfumy...

— Jezus Marya! i to wszystko twoje?

— A moje! Pani ma taki sam nesseser większy, a ja mniejszy...

W tej chwili Czernicka wydobywała z tłumoka lalki różnej wielkości, jako też i inne zabawki dziecinne najrozmaitszego rodzaju. Były tam prześliczne ptaki, jakby żywe, osobliwe zwierzątka, gospodarskie przyrządy, srebrnie i złoto połyskujące i t. d. Janowa usta szeroko otworzyła, zarazem oczy jej napełniły się smutkiem.

¹⁾ Pudélko z przyborami do szycia, toalety i t. p.

— Mój Boże! — szepnęła z westchnieniem — żeby to moje dzieciaki choć zobaczyć to wszystko mogły...

Helka popatrzyła na nią chwilę, zamyśliła się, potem żywo rzuciła się do swych zabawek i łachmanków, z ferworem ¹⁾ wielkim niektóre z nich Janowej ofiarowując.

— Weź, ciotko, tę sowę dla Marylki, a tę rybkę dla Kaśki... dla Wicia niech będzie może ta harmonijka... do niej tylko dotknąć się trzeba, a zaraz bardzo ładnie zagra... Weź, ciotko, weź! Pani nie będzie gniewać się, pani taka dobra i tak mię kocha.... Weź jeszcze i tę różową chusteczkę dla Marylki, a dla Kaśki tę błękitną... ja takich chusteczek mam dużo... bardzo dużo...

Janowa, z oczami pełnemi łez, pochwycić chciała krewniaczkę w swe potężne ramiona, lecz lękając się zgnieść strzępiaste i skomplikowane jej ubranie, grubą ręką swą po atlasowej twarzycze jej powiodła. Podarunków nie przyjęła stanowczo, ale podnosząc się z ziemi, rzekła:

— Dobrze z ciebie dziecko! Choć na wielką panią rośniesz, ale biednymi krewnymi, którzy kiedyś przytulili cię do siebie, nie pogardzasz...

Gdy Janowa mówiła to, Czernicka, pochylona dotąd nad kufrem, wyprostowała się i prędko, dobitnie sarknęła ²⁾ raczej, niż wymówiła:

— Ej, moja pani Janowo! kto to może wiedzieć, jakim jeszcze kiedyś będzie: wielkim, czy małym?

¹⁾ Zapalem.

²⁾ Powiedzieć coś tonem gniewnym.

Janowa nie odpowiedziała nic, z rozrzewnionym bowiem śmiechem oglądała się za Helką, która, chichocząc i na swych wysokich nóżkach podskakując, jak wesoła i zwinna kotka, kręciła się wkoło niej i wszystkie kieszenie odzieży jej cukierkami napychała.

— To dla Marylki — woła — a to dla Kaśki, a to dla Wicka... a to, ciotko... dla wujaszka Jana...

Nagle wzdrygnęła się i posmutniała.

— Tutaj tak zimno! — nadąsanemi usteczkami wymówiła — we Włoszech daleko piękniej i milej... tam ciągle słońce świeci... pogoda... takie piękne lasy pomarańczowe... My tu z panią długo nie wytrzymamy... pewno znów pojedziemy tam, gdzie tak ciepło...

Czernicka wkładała już na nią miękki, jak puch, ciepły paltocik, ale Helka wyrwała się z rąk jej.

— Aj! — zawołała — jak ja długo już pani nie widziałam; pójdę do pani! Adieu, ciotko!

I rzuciwszy rączką całusa Janowej, pobiegła w podskokach, nucąc donośnie:

— Pójdę do pani... do mojej drogiej... do mojej złotej... do mojej najmilszej...

— Jak ona kocha swoją dobrodziejkę! — zwróciła się do Czernickiej Janowa.

Wieczoru tego pani Ewelina, opłynięta zwojami białego peniuaru¹⁾, siedziała przed gotownią smutna i tęskna. Helka w rzeźbionem łóżeczku swem, wpół zakopana w puchach, batystach i haftach, głęboko już usypiała; na gotowni dwie

1) Szlafroczek osłaniający, do czesania.

świece dopalały się w wysokich lichtarzach; za fotelem pani Eweliny stała Czernicka, rozczesując i do nocnego spoczynku układając krucze jeszcze i długie włosy swej pani. Po chwili milczenia pani Ewelina ozwała się:

— Wiesz, moja Czernisiu, mam kłopot...

— Jakież? z czym? — tonem pełnym czulej troskliwości zapytała panna służąca.

Po krótkiej chwili wahania pani Ewelina słabym głosem odpowiedziała:

— Z Helą!

Dość długo potem milczały obie. Czernicka zwolna, lekko wodziła szczotką po kruczych, jedwabistych włosach. Twarz jej, odbijająca się w zwierciadle gotowalni, okryta była wyrazem zamyślenia. Po chwili ozwała się:

— Panienka... rośnie.

— Rośnie, moja Czernisiu... i trzeba już myśleć o jej edukacji¹⁾. Guwernantki do domu nie wezmę za nic, bo niecierpię mieć w domu obcej osoby... nie pojmuję, co uczynię?

Czernicka znów milczała chwilę. Potem z westchnieniem wymówiła:

— Jaka to szkoda, że panienka nie jest już takim małym dzieciątkiem, jakim przybyła do nas...

Pani Ewelina westchnęła także.

— To prawda, moja Czernisiu, tylko takie małe dzieci są prawdziwie miłe i sprawiają rozkosz niezmaconą. Hela wyszła już z najmilszego dziecięcego wieku. Trzeba ją uczyć, strofować...

¹⁾ Nauka.

— Spostrzegłam właśnie, że od jakiegoś czasu pani jest zmuszona dość często strofować panienkę...

— Naturalnie; charakter jej zmienił się znacznie. Stała się kapryśną... dąsa się na mnie byle o co...

— Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci.

— To prawda. Rozpieściłam ją. Niepodobna jednak takiej już dużej dziewczyny pieścić tak, jak kiedy była taką malutką, zgrabniutką... taką przytulną...

— Panience trudno dogodzić... Dziś rozgniewała się na mnie bardzo o to, że czesząc ją, mocniej trochę pociągnęłam pasemko włosów...

— Doprawdy? rozgniewała się na ciebie? Pamiętam, że i dawniej sykała często i rzucała się na krzesła, gdy ją czesałaś... ale dopóki była mała, było to bardzo zabawne i dodawało jej wdzięku... teraz stać się może nieznósnem... Chciałabym mylić się, ale zdaje mi się, że... będzie złością...

— Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci — powtórzyła Czernicka.

Umilkły. Czesanie włosów na noc miało się ku końcowi. Z twarzą schyloną nad głową swej pani, na której układała leciuchny nocny czepeczek, Czernicka cichszym znacznie i wahającym się głosem ozwała się jeszcze:

— Może pani w tych dniach będzie miała gości...

— Gości! jakichże, moja Czernisiu? kogo?

— Może ten pan przyjedzie, na którego kon-

cercie pani była we Florencyi, i który potem przez kilka wieczorów tak ślicznie grał u pani...

Obłok rumieńca przepłynął po twarzy pani Eweliny, którą długa podróż i późna wieczorna godzina uczyniły podobną do zwiędłego kwiatu.

— Nieprawdaż, Czernisiu, że gra prześlicznie? Jest to prawdziwy i wielki artysta!

Ożywiła się, głos jej stał się silniejszym, przycisnęła przedtem oczy błysnęły.

— A jaki piękny! — szepnęła Czernicka.

— Nieprawdaż? o! ci Włosi! jeśli który z nich piękny jest, to już piękny — jak marzenie...

Powolnym krokiem przebyła przestrzeń, dzielącą gotowalnię od łóżka, a gdy była już rozebrana, i gdy Czernicka układała kołdrę w malownicze fałdy i draperye, marzącym głosem mówić zaczęła:

— Moja Czernisiu! zmiłuj się, dopilnuj, żeby wszystko w domu dobrze i ładnie uporządkować... Salon odświeżyć... tak, ja! ty to umiesz... bo ty masz wiele dobrego gustu i zręczności... Może wypadkiem... ktokolwiek do nas przyjedzie...

Przez wiele następnych wieczorów pomiędzy panią Ewelina i Czernicką toczyły się przy gotowalni krótkie i urywane rozmowy:

— Czy zauważyłaś, Czernisiu, że Hela szpetnieje?

— Zdaje mi się, że panienka nie jest już tak ładna, jak była...

— Staje się całkiem niezgrabna... Nie pojmuję, skąd wzięły się u niej takie długie nogi... broda jej też wydłużyła się jakoś dziwnie.

— Zawsze jednak panienka jest bardzo ładna...

— Nie będzie tak ładna, jak można było spodziewać się przed paru laty... Mój Boże! że też to czas ten leci, leci i unosi z sobą wszystkie nadzieje nasze...

Nazajutrz jednak twarz jej jaśniała bardzo błogą nadzieją. Na gotowalni leżał woniejący liścik, z Włoch przybyły.

— Moja Czernisiu! będziemy miały gości...

— Chwała Bogu! Pani weselej trochę będzie. Od powrotu z za granicy pani ciągle taka smutna...

— O! moja Czernisiu, czegożbym wesołą być miała! Świat ten tak jest smutny! Te szczególnie dusze, które gonią za ideałem, za doskonałością, wiecznie tylko zawodzić się muszą...

Po chwili milczenia dodała:

— Heła naprzykład... Co to było za śliczne, mile, zabawne dziecko... a teraz...

— Od powrotu naszego z za granicy panienska ciągle nadąsana jakaś... i y smutna...

— Gdzietam smutna! Czegożby smucić się miała? Dąsa się na mnie za to, że nie zajmuję się nią tak ciągle, jak dawniej... Mój Boże! czyż ja mogę przez całe życie niczem innem nie zajmować się, tylko dzieckiem...

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci — powtórzyła swoje Czernicka.

W samej rzeczy Heła była smutna, ale zarazem i dąsała się straszliwie. Wypieszczone i oddawna samemi tylko rozkosznemi wrażeniami pojone jej nerwy, rozstrajały się pod wpływem żalu, z którego przyczyny i natury nie zdawała sobie jasnej sprawy, lecz który co chwila pobudzał ją do płaczu

lub złości. Przy czesaniu się i ubieraniu krzyczała teraz w niebogłosey prawie, tupała nóżkami, ścisłała piąstki — ledwie że nie biła Czernickiej. Kiedy pani Ewelina milczeniem lub półsłówkami odpowiadała na pieśczośliwe jej szczebioty, albo i zamykała się przed nią w swej sypialni, siadała w kącie salonu, na niskim stołeczku i skurczona, z wydętą twarzą, szepcząc do samej siebie gniewne monologi ¹⁾, zalewała się łzami. Poczem oczy jej nabrzękle i czerwone skłaniały panią Ewelinę do ostatecznego wyrokowania, że Hela jest złośnicą i widocznie szpe-tnieje. Czasem przychodziło jej na myśl robić coś na złość zobojętniałej dla niej opiekunce; kto wie? tym sposobem może zwróci na siebie znów jej uwagę. Gdy pani Ewelina z oczami wlepionemi w książkę, w najgłębsze popadała zadumy, krokiem kocim, z ukośnemi wejrzeniami skradała się do fortepianu i zaczynała z całej siły, obu rękami uderzać w klawisze. Niegdyś kakofonia ²⁾ taka, wykonana przez wychowankę jej, wywołałaby wesoły śmiech pani Eweliny i sprowadziłaby na dziecko grad całusów. Teraz przecie Helka była daleko mniej zabawną, a pani Ewelina zapadała często w smutki i tęsknoty. Teraz zrywała się ona, biegła ku dziecku i karcila surowemi napomnieniami, a niekiedy lekkimi uderzeniami po swawolnych rączkach. Wtedy Helka, rozplakana i drżąca, padała przed nią na klęczki, całowała kolana jej i stopy, wyszeptując długie, namiętne litanie najczulszych nazw.

1) Mowy do siebie.

2) Pomieszanie dźwięków.

— Moja droga — mówiła — moja złota... moja najmilsza... proszę... proszę...

I ze wzniesionemi oczami, ze splecionemi rękami, klęcząc, milkła. Czowała, głęboko i boleśnie czowała, że chce o coś prosić, lecz o co i jak — nie wiedziała.

W czasie jednej ze scen podobnych dnia pewnego lokaj, zjawiający się w drzwiach salonu, oznajmił gościa z włoskiem nazwiskiem. Pani Ewelina, która z właściwą sobie czułością i dobrocią rozczulać się już zaczynała pokorną a pełną wdzięku postawą dziecka i już już w objęcia swe pochwycić je miała, na dźwięk wymówionego nazwiska drgnęła, wyprostowała się i śpiesznie podążyła na spotkanie wchodzącego do salonu pięknego Włocha i słynnego artysty. Gdy witała go, uśmiechy i rumieńce, które twarz jej oblały, uczyniły ją podobną do świetnie rozkwitłej róży.

Wizyta trwała długo, bo aż do późnego wieczora. Gospodyni domu i gość rozmawiali po włosku, z ożywieniem wielkiem, z widocznem i zobopólnem pragnieniem wzajemnego uprzyjemnienia sobie czasu. Niebawem przyniesiono wiolonczelę, pani Ewelina, siedząc przy fortepianie, akompaniowała grze słynnego wiolonczelisty. W jednym z przestanków zaczęli rozmawiać z sobą ciszej niż wprzód — być może nawet, iż mieli sobie coś poufnego i tajemnego do powiedzenia, bo głowy ich kłoniły się jedna ku drugiej, a Włoch sięgał po białą rękę kobiecą, niedbale na klawiszach spoczywającą, lecz w tejże chwili pani Ewelina usunęła rękę, brwi jej ściągnęły się w sposób

wyrażający przykre wrażenie, z zniecierpliwieniem przygryzła wargę i głośno o muzyce mówić zaczęła. Przyczyną tego gwałtownego wzburzenia duszy i fizyognomii było spotkanie się oczu jej z parą utkwionych w niej szafirowych, jak niebo włoskie i jak to niebo ognistych, oczu dziecięcych. Hela, skurczona i cicha, jak ptak zraniony, siedziała w pobliżu na niskim podnóżku i z cienia, padającego na nią od fortepianu, wpatrywała się w opiekunkę swą, jak w tęczę. We wzroku tym, upornie w jeden punkt skierowanym, była żalność i trwoga i prośba... I przez następnych dni parę pani Ewelina i gość jej nie mogli powiedzieć sobie nic poufnego i tajemniczego; rozmowa ich toczyć się musiała po ubitych i odkrytych gościńcach, bo Hela, ani na chwilę prawie nie opuszczając salonu, rozumiała wybornie i sama nawet nieźle mówiła po włosku.

Po paru dniach pani Ewelina, oczekując miłego gościa, siedziała na kanapce z czołem na dłoni wspartem, pogrążona w tęsknej i zarazem rozkosznej zadumie. O czem myślała? O tem zapewne, że Bóg w nieprzebranej dobroci swej zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca. Promieniem tym stał się dla niej genialny i śliczny ten człowiek, wypadkiem a szerokim światem spotkany, a teraz za drogiego przyjaciela duszy i serca przez nią przybrany. O! jakże on ważną rolę w istnieniu jej odegra! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napelniła całą jej istotę i aż wzdymała

serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, tak przez wszystko zawiedzioną. Już już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatyę lub w ciemną melancholię popaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że w najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy. Byleby tylko genialny, piękny i drogi przyjaciel ten przybywał prędzej...

Tu zaduma pani Eweliny przerwana została przez małe rączki, które, jak płatki śniegu, spadły na czarne koronki jej sukni i nieśmiało, błagalnie, jakby pięły się ku jej szyi. Obudzona, wzdrygnęła się i, powściągnąjąc zniecierpliwienie, zlekka usunęła od siebie Helę. Ona usiłowała jeszcze zniecierpliwienie jej brać za wesoły żart. Zbyt długo kochaną była, aby mózdz w odtrącenie uwierzyć. Zaśmiała się zcicha, pieśczośliwie i znów, nieśmiało rączki topiąc w koronkach, próbowała dosięgnąć i objąć jej szyję. Tym razem pani Ewelina poskoczyła z kanapki, zadzwoniła:

— Panny Czernickiej!

Czernicka wbiegła ze zwojem jedwabnej materji w rękach, z pasemkiem jedwabiu na szyi, z mnóstwem śpilek w staniku sukni, zarumieniona silnie i śpiesząca się. Od tygodnia przeszło dyrygowała ona założoną w garderobie fabryką nowych sukien i wszelakich strojów.

— Moja Czernisiu, weź Helę, i niech ona tam przy tobie będzie, kiedy u mnie są goście. Przeszkadza mi rozmawiać z gośćmi... Nudzi mnie...

— Panienska niegrzeczna!

Z temi słowami panna służąca schyliła się nad dzieckiem, a po ustach jej wił się właściwy uśmiezek, trochę sarkastyczny ¹⁾ i trochę smutny; piers zaś, ściśnięta czarnym, ciasnym stanikiem, drgała ni to powstrzymywanym śmiechem, ni to tłumioną złością. Wziąwszy rękę Helki, która ze zbielełą twarzą stała, nieruchoma jak słupek, przez chwilę bystro patrzyła w twarz swojej pani.

— Panienska zmieniła się...—wymówiła z wolna.

— Zmieniła się — powtórzyła pani Ewelina i wzdychając, z gestem najwyższego zniechęcenia dodała: — Nie pojmuję już teraz, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne dziecko!...

— O! było ono kiedyś wcale inne...

— Nieprawdaż, Czernisiu? wcale inne... Była kiedyś przesłiczna... ale teraz...

— Teraz zrobiła się nudna...

— Okropnie nudna... Weź ją i niech już ciągle będzie przy tobie...

Czernicka, wyprowadzając za rękę osłupiałą wciąż i jak płótno zbielełą Hele, w progu jeszcze usłyszała:

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem, z pokornym i przymilonym uśmiechem.

— Cóż tam z moją morową suknią? Dopilnuj, proszę cię, aby dziś ładnie do stołu nakryli... rzuć też okiem na deser... Włosi, wiesz, nic prawie prócz owoców i lodów nie jedzą...

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani,

¹⁾ Szyderczy.

proszę tylko o klucz do materyi i koronek i o pieniądze na wszystko...

W pokoju Czernickiej cicho było. Zegar, wiszący nad ogromnym kufrem, wybijał właśnie północną godzinę. W pobliżu firanek, osłaniających łóżko panny służącej, bielą pod ścianą śnieżnie usłane, z orzecha rzeźbione łóżeczko dziecięce. Na stole, obok maszyny do szycia, paliła się lampa, a na jasnym tle obfitego jej światła ostro i ciemno rysowała się postać pilnie pracującej kobiety. U nóg jej, na ładnym podnóżku siedziała Hela, piastując na kolanach uśpionego Elfa. Czernicka starannie układała i pilnie zszywała kokardy z czarnej mory, lecz, gdy z głębi domu, z salonu, do ucha jej doleciały połączone, płaczące tony fortepianu i wiolonczeli, chmurny wzrok utkwiała w pochylonej nad pieśkiem głowie Heli, a palcem, uzbrojonym w srebrny naparstek, zlekka jej dotykając, wymówiła:

— Słyszysz? pamiętasz! i ty kiedyś tam byłaś!

Dziecko podniosło twarz, znacznie od dni paru pobladła, i na starszą towarzyszkę patrzyło w milczeniu, oczami pełnemi wrosłego w nie jakby zdumienia.

— Cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? czegoż dziwisz się? Och, poszłabyś lepiej spać... Nie chcesz? Myślisz, że cię pani zawoła? Nieprędko to nastąpi. Żal mi cię trochę, Chcesz? to opowiem ci jedną długą, ładną bajkę...

Hela podskoczyła na stolku tak, że aż się Elf obudził! Bajka! Niegdyś słuchała często bajek, opowiadanych jej przez panią Ewelinę.

— Cicho, Elfku, cicho! no! nie śpij znowu! słuchaj! bajka będzie, długa i ładna.

Czernicka dziesiątą z kolei wykończoną kokardę rzuciła na stół i, zaczynając układać jedenastą, z pod brwi na rozweselone nieco dziecko spoglądała. Palce jej drżały trochę, i wzrok posępniał. Po chwili przyciszonym głosem i zawzięcie szyjąc, zaczęła:

— Była sobie raz jednego w szlacheckiej okolicy jednej młoda, przystojna dziewczyna. Żyła ona sobie szczęśliwie u rodziców swoich, pomiędzy braćmi i krewnymi swymi, pod błękitnem niebem Bożem i między zielenią kochanej ziemi, pracując ciężko, to prawda, ale zdrowa, hoża, rumiana i wesola. Miała już lat piętnaście, i już ją był chłopiec — sąsiad za żonę upatrzył, gdy wtem, przypadkiem, zobaczyła ją jedna bogata i bardzo dobra pani. Ta pani zobaczyła młodą tę dziewczynę raz w niedzielę, kiedy w świątecznem ubraniu niosła ona z lasu dzbanek poziomek. Zobaczyła i zaraz bardzo pokochała. Za co? Nie wiadomo. Podobno dziewczyna miała piękne oczy, może też do twarzy jej było na zielonej miedzy, w złotej pszenicy, z czerwoną wstążką przy kaftanie i dzbankiem poziomek w ręku. Dość, że dobra pani przyjechała ślicznym powozem przed chatę jej rodziców — i zabrała ją sobie. Mówiła, że da jej edukację, w świat ją wprowadzi, los i szczęście jej zapewni... Los... i szczęście!

Dwa ostatnie wyrazy wymówiła przeciągle, ze świstem i, rzuciwszy na stół jedenastą kokardę, rozpoczęła układanie dwunastej

— Cóż dalej? co dalej? moja panno Czernicka, co dalej? — trzepotało się na stołeczku dziecię. Elf nie spał także i siedząc na kolanach dziecka, dwojgiem czarnych, okrągłych oczu pojętnie patrzył w twarz opowiadającej.

— Dalej — było tak. Dobra pani kochała bardzo, ale to bardzo młodą dziewczynę przez calutęńkie dwa lata. Trzymała ją wciąż przy sobie, całowała często, uczyła mówić po francusku, zgrabnie chodzić i jeść, paciorkami na kanwie wyszywać... potem...

— Co potem? co potem?

— Potem zaczęła ją lubić daleko już mniej, aż nakoniec raz wypadkiem spotkała jednego hrabiego. Wtedy młoda dziewczyna zrobiła się bardzo nudna i — poszła do garderoby... Całe szczęście, że miała ona wiele dobrego gustu i zręczności, dobra pani więc kazała ją wyuczyć krawiectwa i różnych robót i zrobiła z niej swoją pannę służącą. Gdyby nie nadzwyczajna dobroć tej pani, dziewczyna miałaby teraz swoją chatę w szlacheckiej okolicy, męża, dzieci, zdrowie i twarz rumianą. Ale pani ta zapewniła jej los i szczę...ście... Od lat dwunastu szyje ona dla niej stroje po całych nocach, ujada się z jej garderobianami i lokajami, każdego ranka wkłada jej na nogi pończochy i trzewiki, a każdego wieczora urządza z kołdry jej gustowne draperye... Trzydzieści lat ma dopiero, a wygląda na starą kobietę... Wychudła, szerniała i na oczy zapadać zaczyna... starość jej prędko przyjdzie, i pamiętać o tem musi... o! musi ona pamiętać o swojej starości, bo, gdyby sama

o niej nie pamiętała, to dziś, czy jutro, kiedy do-
bra pani kogo innego zechce na miejscu jej w gar-
derobie posadzić, wróciłby musiała chyba do szla-
checkiej okolicy swojej na łaskę braci, na pośmie-
wisko ludzi, na... nędzę! Ot... początek bajki!

Na stole leżało już wykończonych kokard kil-
kanaście. Czernicka wzięła długi, szeleszczący ka-
wał czarnej mory i układać go zaczęła w malowni-
cze fałdy i zwoje. Palce jej drżały mocniej, niż
wprzód, a żółte powieki mrugały prędko, prędko,
dlatego może, aby zdusić łzy, które drżały na rzę-
sach. Spojrzała na Helę i zaśmiała się głośno.

— Ależ! — zawołała — wytrzeszczyłaś oczy
tak, jakbyś mnie niemi pożreć chciała. I psisko to
także wlepią we mnie ślepie, niby bajkę rozumie.
Bo to bajka jest... Chcesz słuchać dalej?

— Co było potem? — szepnęło dziecko.

Czernicka z wielką powagą w głosie i na twa-
rzy odpowiedziała:

— Potem — był hrabia...

— A potem?...

— Wkrótce potem pani wyjechała do Paryża
i w mieście jakimś, wypadkiem, zobaczyła śliczną
papugę, blado-różową, z czerwonym dziobem...

Hela uczyniła żywe poruszenie.

— W Wiedniu... — zawołała — w jednym
ogrodzie jest tak dużo, dużo papug... takie śliczne...
śliczne...

— Otóż to! — Tamta papuga była jeszcze
śliczniejsza od tych, które są w Wiedniu... Pani ku-
piła ją sobie i bardzo pokochała. Więcej niż przez
rok nie rozłączała się z nią nigdy. Na noc przeno-

szono ją z klatką z salonu do sypialnego pokoju. Pani uczyła ją mówić po francusku, karmiła ją najwyborniejszymi przysmakami, gładziła jej piórka, całowała w dziobek...

Tu skończyło się fałdowanie kawałka mory. Czernicka pyszną draperyę zawiesiła na poręczy krzesła i rozpoczęła mozolne strzępienie igłą końców szerokiej morowej szarfy. Pod ciosami igły materya wydawała ostre chrzęsty, zegar nad kufrem wybijał godzinę pierwszą, z salonu przyplęnęły znów, milczące wprzód przez dobry kwadrans, a teraz jak gdyby w namiętny uścisk rzucające się tony wiolonczeli i fortepianu.

— Co potem? Co było potem? — zaszemrał niecierpliwy a zarazem trwożny szept dziecięcy.

Elf nie był ciekaw końca bajki. Usnął w objęciu Helki.

— Potem... nie pamiętam już dlaczego i jakim sposobem papuga zrobiła się bardzo nudna... i poszła do garderoby. W garderobie posmutniała, przestała jeść, zachorowała i zdechła. Ale pani nie żałowała jej wcale, bo miała ślicznego pieska...

— Wiem! już wiem! — nagle zawołała Hela.

— Co wiesz?

— Koniec bajki.

— No, to powiedz.

— I piesek poszedł do garderoby...

— A potem?

— Potem była dziewczynka...

— I cóż?

— Pani dziewczynkę kochała...

— A potem — wtrąciła Czernicka — spotkała jednego sławnego muzyka...

— I dziewczynka poszła do garderoby.

Ostatnie trzy wyrazy Hela wymówiła szeptem zaledwie dosłyszalnym. Czernicka podniosła oczy z nad morowych strzępi i ujrzała twarz dziecięcą, bardzo dziwnie wyglądającą. Była to mała, pięknie zarysowana twarz, biała w tej chwili, jak opłatek, z dwiema strugami cichych, bujnych łez, zwolna toczącymi się po policzkach, z dwojgiem oczu szafirowych, wielkich, które z za łez podnosiły się ku niej z niemem, bezdennem, zda się, zdumieniem. Zrozumiała bajkę... ale dziwić się nie przestała.

Czernicka znów kilka razy powiekami mru-gnęła. Wstała i dziewczynkę z podnóżka podniosła.

— No — rzekła — dość już bajek i płaczów i nocnego siedzenia... Zachorować możesz... Idź spać.

Nie opierającą się wcale, cichą jak śen, a wciąż podnoszącą ku niej pytające z za łez oczy, rozebrała i na pościeli złożyła. Potem wzięła Elfa, który już na podnóżku ułożył się był do snu, i w kształcie pociechy zapewne, położyła go na jej kołdrze. Nachyliła się i suchemi wargami czoła jej dotknęła.

— No — rzekła — cóż robić? Nie byłam zła dla papugi, nie byłam zła dla Elfa, nie będę też zła dla ciebie... dopóki tu będziesz. Śpij!

Lekkim, ozdobnym parawanem zasłoniwszy jeszcze dziecięce łóżko od światła lampy, usiadła znów przy stole i poczęła zszywać na maszynie białe jakieś muśliny. Suche i zwinne ramię jej obracało żywo korbę, a koło maszyny turkotało dopóty, dopóki w przedpokoju zaspany lokaj nie

zamknął drzwi za odchodzącym gościem. Na świecie białął już wtedy późny ranek jesienny. Z sypialnego pokoju pani Eweliny ozwał się dzwonek. Czernicka porwała się z miejsca i przecierając oczy, całonocną pracą zmęczona, pośpiesznie z pokoju wybiegła.

Od ponownego wyjazdu za granicę pani Eweliny, który nastąpił wkrótce po wyjeździe z Ongrodu słynnego artysty, upłynęło pół roku. Drobnymi gęstymi deszczami marcowymi bez najłżejszego szelestu padał z popielatego nieba, a choć na świecie dobra jeszcze godzina pozostawała do zapadnięcia wieczoru, w malutkim, niskim domostwie mularza Jana robiło się już ciemno.

W mętny i dżdżysty dzień wiosenny dwa małe, nad samą prawie ziemią umieszczone okna skąpo oświetlały izbę dość obszerną, z niskim belkowanym sufitem, ze ścianami, okrytymi szerniałym i chropowatym tynkiem, z podłogą glinianą i wielkim piecem, do pieczenia chleba i gotowania służącym, a zapełniającym całą prawie czwartą część izby. Piec był wielki, a jednak w starych tych, niskich i cienkich ścianach czuć było zgromadzoną przez zimę stęchliznę i wilgoć. Zresztą, stały tam pod ścianami ławki, stoły, parę krzeseł z żółtego drzewa, komódka ze świętymi obrazkami, dwa niskie tapczaniki do spania, beczka z wodą i beczułka z kwaszoną kapustą, a w pobliżu pieca wążkie i niskie drzwiczki prowadziły do malutkiej izdebki, będącej sypialnią właścicieli domostwa.

Teraz w większej izbie zgromadzona rodzina mularza zabierała się do jedzenia wieczerzy. Jan, krępy, silny człowiek, z głową nastrzępioną twarzeni jak sierść, a jak las gęstymi włosy, tylko co wrócił od roboty, twarz i ręce umył w konwi z wodą i, zdjawszy mularski fartuch, gliną i wapnem oblepiony, w kamizelce i rękawach grubej koszuli zasiadł przy ścianie za stołem. Janowa, bosa, w krótkiej spódnicy i chustce na piersi skrzyżowanej, z grubą potarganą kosą, odrzuconą na plecy, w przepaścistej głębi pieca rozpalila duży ogień i gotowała przy nim zacierkę. Poł ścianą na tapczanie siedziała i głośno gwarzyła gromadka dzieci. Było ich troje: chłopak dwunastoletni, krępy i silny, z czupryną, jak u ojca, gęstą i najeżoną, i dwie dziewczynki, od lat ośmiu do dziesięciu, bose, w długich aż do ziemi spódniczkach, szczupłe, ale rumiane i śmiejące się na całą izbę. Rozśmieszał je tak Wicek, który wpółleżąc na tapczanie i dziwne rzeczy bosemi nogami dokazując, opowiadał im o przygodach swych, doświadczanych w szkółce początkowej, do której od roku już uczęszczał. Dopóki Janowa nie rozpalila ognia w piecu, zdawać się mogło, że w izbie tej, oprócz dwojga rodziców i trojga małego rodzeństwa, nie było nikogo. Gdy jednak błysk płomienia oświetlił ciemny wprzód przeciwległy kąt izby, ukazała się siedząca na drugim tapczaniku jedna jeszcze mała istota ludzka. Była to także dziewczynka, około dziesięcioletnia, której jednak twarz i ubranie błysk ognia ruchomy i słabo tu dochodzący oświetlał mętnie i migotliwie. Widać tylko było, że siedziała

ona na tapczanie z podwiniętymi nogami, w najgłębszy kąć wsunęta, w postawie skurczonej i zziębłej. Tuż przy niej połyskiwały brązowe guziki, przyozdabiające niewielki, ale wykwinty kuferek, z którego dwie małe i blade jak opłatek ręce wydobywały od czasu do czasu różne drobne przedmioty. Z ruchu rąk tych można było z łatwością odgadnąć, że skurczona i zziębła istotka grzebieniem z kości słoniowej długo i starannie czesała swoje włosy, w których migotliwe błyski ognia rozpalały niekiedy wśród cienia gorąco-złote połyski. Raz błysnęło też wydobyte z kufierka, w srebro oprawione lustro...

— Mamo! mammo! — zawołała młodsza z dwu bawiących się na tapczanie dziewczynek — Hela znów czesze się i przypatruje się sobie w lusterku...

— Ona dziś już trzeci raz czesze się, a dwa razy myła sobie paznokcie — wzgardliwie zauważyła starsza dziewczynka.

— Elegancka! Łała! — dorzucił chłopiec — czy to jej, jak nam, w konwi myć się... umoczy rączniczek swój w wodzie i pecka nim sobie twarzyczkę... ot! stłukę ja jej to lustro, zobaczymy, co będzie!

I wszystko troje z wielkim tętentem bosych nóg rzuciło się ku ciemnemu kątowi.

— Daj lustro! daj! daj!

Dwie małe, blade jak opłatek rączki w milczeniu i bez najlżejszego oporu wyciągnęły się z cienia i oddały rozswawolonej gromadce lustro w srebrnych ramkach. Dzieci porwały je, lecz, łupem tym jeszcze niezadowolone, ściągnęły z tap-

czana kuferek z ankielskiej skóry i usiadłszy dookoła niego na ziemi, po raz setny zapewne przeglądając poczęły zawierające się w nim grzebienie, szczotki, szczoteczki, puste flakony od perfum i pudełka do mydeł.

Janowa tymczasem, nie zważając wcale na krzyki i śmiechy dzieci, a może nawet i w dobry humor przez nie wprowadzona, rozmawiała z mężem o dzisiejszej robocie jego, o przykrościach, które wyrządzała jej sąsiadka, o Wicku, który dziś załenił się i późno do szkoły poszedł. Potem, niosąc ku stołowi wielką, dymiącą się misę, zawołała dzieci na wieczerzę.

Wezwania tego nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Wicek i Marylka jednym skokiem byli już na ławie, obok ojca, któremu po jednym ramieniu na szyję zarzucili. Kaśka przyskoczyła do stołu, uczepiona spódnicy matki, krającej w drodze chleb razowy z wielkiego bochna. Janowa obejmowała się.

— Heła! — zawołała — a ty dlaczego nie idziesz jeść?

Zsunęła się z tapczanika i kiedy szła ku rodzinnemu stołowi, drobna postać jej, oświetlona w pełni, w sposób szczególny, jaskrawy, odbiła się od otaczającego ją tła. Szczupła i nad wiek wysoka, miała ona na sobie szubkę z błękitnego atlasu, łabędzim puchem obszytą. Atlas był jeszcze świeży i błyszczący, ale śnieżne niegdyś obszycie wyglądało, jakby wydobyte z popiołu. Ubranie to, z którego już wyrosła, sięgało jej zaledwie do kolan, poniżej długie, chude jej nogi, w pół okryte

łachmankami pończoch pajączej cienkości i bucikami wysokimi, na długi rząd błyszczących guziczków spiętymi, ale przez otwory których przeglądały nagie prawie stopy. Ściągnęła i chudą twarz jej, z wielkimi zapadłymi oczami, otaczały włosy ogniste, starannie uczesane i opasane świeżo snąc włożoną kosztowną wstążką. W tych niskich, ciemnych ścianach, pomiędzy temi dziećmi bosemi i w grubej odzieży, strój ten, jako też delikatność cery jej, rąk i ruchów, okrywały ją w pół śmieszem, w pół bolesnem piętnem głębokiej z całym otoczeniem jej dysharmonii. Przez chwilę słyhać tylko było uderzanie łyżek o misę i mlaskanie pięciu gąb, z wielkim smakiem zajadających zacierkę ze słoniną, przekąsywaną razowym chlebem. Hela jadła także, ale powoli, delikatnie i bardzo mało. Kilka razy poniosła do ust chleb i zacierkę i, położywszy łyżkę na stole, siedziała cicho, z rękami splecionemi na kolanach, wyprostowana na stołku swoim tak wysokim, że stopy jej w paryskich podartych bucikach nie dosięgały ziemi.

— Czemuż nie jesz więcej? — zwróciła się do niej Janowa.

— Dziękuję, już nie chcę — odpowiedziała i drżąc z zimna, otulała się, jak mogła, swoją za wąską dla niej i za krótką atlasową szubką.

— Czem to dziecko żyje, to już ja doprawdy nie wiem! — zauważyła Janowa — gdybym jej codzień kawałek mięsa nie usmażyła, toby już chyba do tego czasu z głodu umarła. A i tego jeszcze nigdy, nigdy do końca nie zje...

— Et — flegmatycznie zauważył Jan — przywyknie kiedyś, przywyknie...

— A ciągle też zimno jej i zimno... Nasze dzieci latają po dworze boso i w koszulach, a ją tu w izbie przy piecu, w tem niby to futerku, febra wciąż trzęsie...

— At — powtórzył Jan — przywyknie kiedyś...

— Pewno! — przytwardziła Janowa — ale ot tymczasem żal bierze, patrząc... Już ja często gęsto i samowarek nastawię i herbatą ją napoję...

— Tak trzeba — potwierdził mularz — przecież płacą nam za nią...

— Płacą, to płacą... ależ nie tyle, żebyśmy ubóstwo nasze dla niej na bogactwo odmienić mogli...

— Bo i nie potrzeba, przywyknie.

Wicek i Marylka opychali się jeszcze chlebem i zacierką. Kaśka przekomarzała się z nimi, jeść im przeszkadzając. Jan, otarłszy usta rękawem koszuli, począł rozpytywać syna o szkolne jego nauki i prowadzenie się, w przyległej izdebce zapłakało kilkomiesięczne dziecko. Janowa, która misę, łyżki i pół bochna chleba ku piecowi niosła, obejrzała się na Hełę.

— Idź, pokołysz Kazia i zaśpiewaj mu tam, jak to ty umiesz...

Rozkaz ten wydawała głosem łagodnym, daleko nawet łagodniejszym, niż ten, jakim do dzieci swoich przemawiała.

Hela, posłuszna i milcząca, krokiem lekkim

i pełnym gracyi ¹⁾, wcale do porywistego i ciężkiego chodu dzieci mularza niepodobnym, wsunęła się w całkiem prawie ciemną izdebkę, a po chwili miarowemu stukotowi biegunów kołyski wtórować zaczął słaby, lecz czysty i rzewnością nabrzmiały śpiew dziecięcy. Innych piosenek, jak francuskie, nie umiała, ale tych zato pamiętała mnóstwo. Francuskie zaś śpiewanie to zawsze i nieodmiennie wprawiało w zachwyty rodzinę mularza, dlatego może najbardziej, że było dla niej niezrozumiałem. I teraz także dzieci umilkły. Jan, obu łokciami rozparty na stole, i Janowa, myjąca naczynie przy piecu, milczeli. W ciemnej izdebce miarowo stukały bieguny kołyski, a czysty i smutny głos dziecięcy na przewlekłą, melancholijną nutę wyśpiewywał zwrotkę ulubionej piosenki:

Le papillon s'envola,
La rose blanche s'effeuilla,
La la la la la la la...

Janowa podeszła do stołu, Jan podniósł głowę. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się z szyderstwem trochę, trochę ze smutkiem.

Jan sięgnął w zanadrze i rzucił na stół rozpieczętowaną kopertę.

— A! ot! spotkałem dziś na mieście posesora ²⁾ Krzyckiej. Szedł do nas, ale zobaczywszy mię, zawołał i oddał mi to...

¹⁾ Wdzięku.

²⁾ Dzierżawcę.

Janowa grubymi palcami, z widocznem i głębokiem uszanowaniem wydobywała z koperty banknot dwudziestopięćciu-rublowy, stanowiący połowę rocznej sumy, którą im pani Ewelina na utrzymanie i edukacyę Heli aż do jej zupełnego dorostnięcia wypłacać przyrzekła.

— No — zaczęła Janowa — przysłała jednak... chwała Bogu... myślałam, że...

Urwała, bo obok niej przy stole stanęła Hela. Z ciemnej izdebki, gdzie kołysała dziecko, widziała oddającego żonie kopertę z pieniędzmi i usłyszała wymówione nazwisko swej dawnej opiekunki. Jakby jej w jednym mgnieniu cała dawna żywość wróciła, zeskoczyła z łóżka Janowej, przy którem stała kołyska, i przypadła do stołu z zarumienioną twarzą, z błyszczącemi oczami, uśmiechnięta i drżąca, nie od zimna już, ale ze wzruszenia. Wyciągnęła ku kopercie obie ręce.

— Od pani — wołała — to od pani... czy... czy... Tchu jej brakło.

— Czy pani o mnie co pisze?

Jan i Janowa popatrzyli znów na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

— Ej, ty głupi dzieciaku! gdzieby tam pani miała do nas o tobie co pisać... przysłała ot pieniądze na utrzymanie twoje. Bądź wdzięczna i za to!

Hela w mgnieniu oka znów pobladła, sposepniała i otulając się szubką swoją, odeszła ku piecowi. Wicek pochwycił kopertę i czytał Marylce wypisany na niej adres, Kaśka drzemała na ławie, z głową złożoną na kolanach ojca. Jan, biorąc z ręki żony banknot, z wahaniem w głosie zaczął:

— Możeby to... schować dla niej... na dalsze czasy... Za dwadzieścia pięć rubli wyżywimy dziecko, a te drugie niechby... składały się...

— Niechby składały się — brodę na rękę w zamyśleniu wspierając, odpowiedziała Janowa — tylko że widzisz, Janku, terazby ją oporządzić trochę trzeba...

— Jakto oporządzić? Toż pozwolili jej całą garderobę wziąć z sobą...

— Ach! garderoba! Dobrze to było do pałacu, ale tutaj... Wszystko to takie cieniutkie, delikatne... albo to ja mogę prać takie rzeczy, jak należy... Ot, jedna dopiero zima minęła, a na miejscu tych jej sukien w kuferku same łachy zostały.

— Ano, kiedy oporządzić, to oporządzić. Tylkoż mi, kobieto, zbytków żadnych dla dziecka tego nie rób... niech chodzi tak, jak nasze dzieci... a jeśli grosz jaki zostanie, na dalsze czasy dla niej schować...

— Ale! jak nasze dzieci! kiedy to takie delikatne! bosą nogą na podłodze stąpi, kaszle... trzy dni koszulę ponosi, płacze, pytam się: czego płaczesz? »koszula brudna!...« powiada, a myje się to, czesze się i kurczy po kątach przez całe dnie, jak kotka...

— At — bębniąc palcami po stole, zakonkludował¹⁾ Jan — przywyknie...

Gdy mularz i żona jego w sposób ten naradzali się nad Helą, ona stała przed piecem i zapadłemi, przygasłemi oczami patrzyła w dogasający

¹⁾ Zakończył.

ogień. Widać było, że namyślała się nad czemś głęboko; po chwili, stanowcze jakby postanowienie powziąwszy, odwróciła się i cichutko otworzywszy drzwi od sieni, wymknęła się z domostwa... Na ulicy znacznie widniej było, niż w chacie, jednak szarzało już zwolna, i chłodem przesywająca mgła marcowego deszczu napelniała powietrze. W mgle tej, brzegami znanych sobie dobrze uliczek, a potem ulic Helka przesuwała się zrazu prędko, potem coraz powolniej. Chwilami, zmęczona bardzo, przystawała; w wąskiej piersi jej brakowało oddechu, źle obute nogi słabły, kilka razy zanosła się chrypliwym kaszlem. Szła jednak wciąż dalej i dalej, aż znalazła się na Zamiejskiej ulicy, u początku której pośród bezlistnych teraz drzew ogrodu stała willa pani Eweliny. Podeszła do żelaznych sztachet, popatrzyła na ogród. Posunęła się dalej, ku bramie. W bramie furtka była otwarta. Weszła na dziedzińiec. Tu w głębi dziedzińca, w dwu oknach oficyny, w której było mieszkanie stróża, świecił ogień. Śnać gotowano tam wieczór. Przed oficyną stróż rozrąbywał na drzazgi klocek drzewa. Zresztą cicho tu było i pusto, uderzenia siekiery głucho i miarowo tętniły w mgle deszczowej, z blaszanej rynny na bruk dziedzińca ciekła z monotonnym szmerem wązka struga wody. Hela przesunęła się pod ścianą pałacyku i suchą, bo zwirowaną ścieżką weszła do ogrodu. Tu stanęła przed schodami wysokiego ganek, na którym pani Ewelina przesiadywała zwykle całe dnie letnie. Teraz schody, ganek i okrażające go ławki pokryte były wodą. Hela zaczęła wstępować po scho-

dach, woda pluskała z pod jej paryskich podartych bucików. Nagle wydała okrzyk radosny i miłosnym gestem wyciągała obie ręce. Z pod ławki, z kąta ganku, w którym leżał zwinięty i do kłębka zmoczonej w błocie peli ¹⁾ podobny, z zajadłem piskliwym szczekaniem rzucił się ku niej Elf. Nie poznał jej był zrazu; bo też długa sierść jego, przemokła, splątana, całkiem prawie zasłaniała mu oczy. Gdy jednak przemówiła do niego i na mokrych deskach przed nim usiadła, wskoczył na jej kolana, a skomląc z radości, lizać począł twarz jej i ręce. Stworzenie to było wychudłe także, zziębnięte, głodne, zapewne, brudne...

— Elfku mój! Elfku! piesku mój drogi, złoty, najmiłszy!

Tulili się do siebie i całowali wzajem.

— Elfku! a gdzie pani? gdzie pani? Niema pani naszej! niema! niema!

Wstała i, psa niosąc w objęciu, zbliżyła się do jednego z wychodzących na ganek okien domu. Usiadła na ławce i wnet zerwała się z niej.

— Popatrzym przez okno, Elfku, zobaczymy, co tam w pokojach dzieje się... Może tam pani jest... Może nas zawoła...

Uklękła na ławce. Woda, której wiele zgromadziło się we wklęsłości ławki, plusnęła z pod jej kolan. Nie uważała na to.

— Patrz, Elfku! patrz!

Podniosła pieska i obok twarzy swej kosmaty pyszczek jego do szyby przycisnęła.

¹⁾ Jedwabne nitki.

— Widzisz, Elfku... Wszystko tak samo, jak było... ponsowe firanki takie piękne... a tam to duże lustro, przed którem pani ubierała mię czasem... a tam... przez otwarte drzwi widać pokój jadalny...

Umilkła; pożerała oczami wszystko, co we wnętrzu mieszkania dostrzedz mogła.

— Widzisz, Elfku, ten kołyszący się fotelik... jak na nim wygodnie siedzieć... Bywało, siadę i kołyszę się... kołyszę się... caluteńką godzinę.. i lalka moja, ta duża, kołysała się ze mną...

Elf zmęczył się niewygodną pozycją, wysunął się z pod jej ramienia i opadł na ławkę. Osunęła się też wkrótce na nią i dziewczynka.

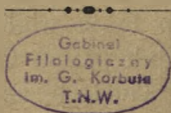
— Oj, Elfku! Elfku! i ty i ja... byliśmy tam niegdyś.

Siedziała w wodzie. Ubranie jej było tak prześlaknięte wilgocią, że czuła spływające jej po plecach chłodne strumienie. Stopy jej, pod paryskimi podartymi bucikami nagie prawie, drętwiały. Siedziała jednak i tuliła do piersi wychudłego, mokrego Elfka, który od chwili do chwili ręce jej lizał.

— Widzisz, Elfku, tam, gdzie teraz tyle błota... latem jest trawnik, a ja z panią siedziałam na nim tyle, tyle razy, i układałyśmy bukiety. A pamiętasz ty, Elfku, Włochy? To ja uprosiłam panią, abys tam z nami jechał! Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono, słońce tak świeci... morze szafirowe... nad morzem takie wielkie, białe ptaki latają... A pamiętasz, jak panna Czernicka lękała się płynąć po morzu... Gdzie teraz panna Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... nigdzie... nigdzie...

Ciężka, kamienna senność ogarniać ją zaczęła. Pochyliła głowę na poręcz ławki, i mocniej wcięż trzymając przy piersi sennego też Elfa, usnęła. Na świetle robiło się coraz ciemniej; siekiera stróża umilkła, w oknach oficyny zgasł blask ognia, drobny gęsty deszcz wcięż bez najlżejszego szelestu spadał na ziemię, i tylko po rogach pałacyku z blaszanych rynien ciekły z monotonnym szelestem wazkie strumienie wody.

Okolo północy, dostukawszy się do stróża i na pytania swe otrzymawszy odpowiedź, że istotnie stróż widuje od czasu do czasu dziecko to, które mu wieczorem z chaty zginęło, Jan mularz z zapaloną latarnią wszedł na ganek i nad jedną z otaczających go ławek stanął, jak skamieniały. Stał, patrzył, wstrząsał głową i nie wiedzieć dlaczego, grubą rękę swą, z niechcienia niby, przesunął po oczach, podniósł potem w silnych ramionach dziewczynkę, która, obudziwszy się, senna, splakana i słaba, rozpaloną twarz swą na ramię jego zwiesiła. Zniósł ją z ganku i szybkim krokiem ku chacie swej z nią podążył. Biorąc Helkę, odrzucił precz śpiącego przy piersi jej Elfa, który też w milczeniu poszedł znów pod ławkę i ciężko wzdychając, zwinął się w kłębek na mokrej podłodze ganku.



TECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

- wa E. Daleko. — Karyery
 Wiercé domu
 Pobra pani
 — Panna Róża
 39. Rodziewicz M. Rupiecie
 140. — Kamienie. — Ciotka. — Wpisany do heroldyi
 141. Konopnicka M. Z Liryk i obrazków
 142. Niemcewicz J. U. Śpiewy historyczne
 143. Mickiewicz A. Sonety Krymskie. — Farys
 144. Krasliński Z. Liryki. (Wybór)
 145. Brodziński K. Wiesław
 146. Kondratowicz L. Szkolne czasy
 147. Słowacki J. Liryki. (Wybór)
 148. Malczewski A. Marya
 1-9. Fredro A. Pan Geldhab
 1-0. — Zemsta za mur graniczny
 1 1. — Śluby panięskie
 1-2. Karpiński Fr. Wybór poezyi. Książnik D. Wybór
 poezyi
 153. Korzeniowski J. Mnich. Tragedya
 154. Krasicki I. Satyry i listy
 Naruszewicz A. Satyry
 Słowacki J. Książę Niezłomny
 Schiller F. Wilhelm Tell
 — Dziewica orleańska
 Byron. Giaur
 Schiller F. Marya Stuart
 Byron. Manfred
 — Więzień Czylonu
 Szymański A. Stolarz Kowalski
 Słowacki J. Anelli
 Krasliński Z. Przedświt
 Mickiewicz A. Konrad Wallenrod
 Grażyna
 Dekspir W. Sen nocy letniej
 Młotochowski A. Hymn niemych. — Woły
 Nowicka M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa
 polskiego
 Dekspir W. Hamlet
 — Makbet
 — Romeo i Julia
 — Król Lir
 — Otello
 Mściński H. Wernyhora
 Czartoryski A. K. Katechizm rycerski
 Ustawa rządowa z d. 3 maja 1791 r.
 Katechizm narodowy z 1791 r.
 Mont St. Z ziemi chełmskiej
 Lis B. Omyłka
 Janowski M. Liryki

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW

K
16.94

92. Kondratowicz L. Kęs chleba
93. — Jan Dęboróg
94. — Trzeźłowe. — Spowiedź pana Korasa
95. — Wielki czwartek
96. Asnyk Adam. Wybór poezyi
97. Ujejski K. Wybór poezyi
98. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej
99. Wasilewski Ema. Wybór poezyi
100. Zaleski J. B. Wybór poezyi
101. Garzanowski Ign. Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza. Wyd. 2-gie
102. Krasicki Ign. Bajki i przypowieści. Wybór
103. Tetmajer. K. Wybór poezyi
104. Kasprzyski Jan. Wybór poezyi
105. Niemcewicz J. U. Wybór poezyi
106. Morawski-Fierztyraj Fr. Bajki. Wybór
107. Romanowski M. Wybór poezyi
108. Brodziński K. Wybór poezyi
109. Pol W. Wybór poezyi
110. Żmichowski M. Wybór poezyi
111. Or-Ot. Wybór poezyi
112. Rodec M. Satyry. Wybór
113. Morawski Fr. Wizyta w sąsiedztwo. Listy poetyckie
114. Zaleski B. Pieśni gęślarackie serbskie. — Car Łazarz, czyli bój Kossowski
115. Zofiański Gustaw. Kirgiz
116. Pol Wincenty. Przygody młodości Imci Pana Benedykta Winnickiego I.
117. Orszkowska Elza. Bracia
118. Orszkowska Elza. Światło w ruinach
119. Kubała L. dr. Mieszczanin polski z XVII w.
120. — Oblężenie Lwowa w r. 1648
121. Kubała L. dr. Bitwa pod Beresteckiem
122. — Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem
123. Szalnocha Karol. Wnuka króla Jana
124. — Barbara Radziwiłłówna
125. Szalnocha Karol. Zdobycze pługa polskiego. — Bród Krzyżackie
126. — Zwycięstwo pod Lwowem w r. 1675. Trynitarze
127. Mickiewicz Adam. Ballady
128. — Bajki i powiastki
129. — Liryki. — Sonety Krymskie
130. Stępski Jan. Ojciec zadżumionych. — W Szwajcaryi
131. — Jan Bielecki. — Arab. — Mnich
132. — Mindowe
133. — Złota czaszka
134. — Marya Stuart

16 13

<http://rcin.org.pl>

K.

16.993